

4267/41

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1851.

Tom pierwszy.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLI.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Żaluskich.

1851.

BIBLIOTEKA

WARSZAWA

4620. 1851. 1

II

1851.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



30.000,-

X-14140
4620, 1851

09. 26. T. 41.

1.

1851

ROZMAITOŚCI.

DANIŁKO FLIS.

Obrazek z obyczajów ludu okolic nadbużnych.

Niechaj kto chce wygaduje sobie na okolicę Podlasia, niechaj je pustynią polską nazywa, stroną pozbawioną wszelkich malowniczości, a natomiast pełną piasku, błota, i lasów i równin; ja pominąwszy stronność, jaką się zwykle uczuwa dla rodzinnych okolic (jestem bowiem zabitym Podlasiakiem), śmiało obstawać będę przy zdaniu, że chociaż niektóre okolice, szczególnież téż nadbużne, pełne są rozmaitości i przyjemnych a nawet ładnych widoków.

A proszę je widzieć na wiosnę, gdy śniegi stopnieją i lody pokrywające rzekę, pobliskie jeziora i rzeczki ujdą gdzieś daleko, pozostawiając powierzchnię wód czystą jak zwierciadło; gdy wierzby i topole piérwszo zaczną puszczać pączki, i świeżą, czystą woń rozsiewać po nadwodnych wybrzeżach; gdy małe a liczne, jak gdyby archipelagu wysepki, zieloną, młodocianą pokryją się trawką..... Lecz to nic jeszcze! jeśliś marzyciel, jeśli jesteś uczuciowy, lub jeśliś zakochany, spojrzij w piękną noc miesięczną kwietniową ze wzgórze, panującego nad rzeką i obszernymi okolicznymi łęgami: Bug wezbrał, a oto rzeczutki, jeziora pobliskie i odnogi, co w różnych zwykle kierunkach przerzynają łęgi, teraz w jedną z rzeką zlane całość, tworzą ogromne jezioro; ledwo okiem dosięgniesz brzeg drugi, szarzejący naprzeciw. Śród tego, księżyc odbijający się w téj rozległej wód przestrzeni, daleką smugą srébrzy bałwanki, wieczornym gnane powiewem, a tu i owdzie błyszczą światła nadbrzeżnych chat, odbijając się stokrotnie w czystych falach, tu i owdzie czernieją wysepki, których powierzchni dumne fale rzeki nie były w stanie zagłodzić.

Niemniej pięknym wydaje się wówczas widok Bugu, gdy galary lub tratwy drzewa w paki związanego, z pluskaniem drygawek i donośnemi głosy ochoczych flisów, płyną krętym Bugu korytem. Odważny retman w czarnym, przetartym, zwykłe o dużym rondzie kapeluszu, w granatowej lub szaraczkowej kapocie ukłękawszy w czółenku, nadzwyczaj małej objętości, zręcznie przemyka się naprzód, stawiając wiechy na prądach i mieliznach, i ogromnym głosem dając znaki i ostrzeżenia płynącej za nim flocie. Flota ta z kilku lub więcej składająca się galarów naładowanych zbożem, które w Gdańsku ma się spieniężyć, na jednym z nich ma wybudowaną budkę *skarbowką* zwaną, przeznaczoną dla nadzorcy, wyprawy i zawierającą pożywne dla flisów zapasy, a przy drygawkach na każdym statku, po obu jego końcach, stoi dwóch flisów w białych koszulach, z łyżkową u szyi kokardą, w słomianych kapeluszach, butach lub postolach, z fajkami bakunu w ustach, śpiewających niekiedy tęskno smutne swe pieśni. I płyną ciągle dalej i dalej, coraz nowe brzegi nasuwają im się przed oczy, coraz nowe wsie, cerkiewki, i dwory, i ogrody..... Najcięższa im na młynach przeprawa, których na Bugu jest dosyć, prawie w każdej nadbrzeżnej wiosce; wówczas to z trudem przeprowadzają swe statki przez ciasninę, z dwóch grobel palami obitych utworzoną.

A noclegi odbywają się pod gołym niebem, na pierwszym lepszym brzegu, gdzie im noc wypadnie: ognia napalą, pieką kartofle, palą fajki i gawędzą; lub gdy ich święto jakie uroczyste w drodze zaskoczy, cały dzień statki stoją na kotwicach, a flisy dla uczczenia pamiątki dnia tego stawiają krzyż prosty drewniany nad brzegiem.

Na stromym, wyniosłym, piaszczystym brzegu, w cieniu kilku odwiecznych sosen, co się nad wodą pochylili, jak gdyby się w niej przejrzeć chciały, stała pokureczona starością, z roztrzepanym od burzy dachem chata, zwykłej w tamtych stronach budowy, to jest z opołów drewnianych jako tako sklecona, z kominem z tyczek, gliną i chróstem przeplatanych, poczerniałym od dymu, i pochylonym nad mchem obrosłą i podziurawioną strzechą.

Wnętrza jej opisywać nie będę, bo komuż są nieznane chaty poleskie, tylokrotnie i z taką prawdą przez Kraszewskiego opisane: te izby ciemne, pełne dymu i wilgoci, w których całem umeblowaniem stół dębowy, tapczany, ławy, naczynia i narzędzia gospodarskie.

Za chatą ciągnął się ogródek warzywny, płotem z chróstu opasany, z kilkoma owocowemi drzewami; z boku stała stodółka z wystrzyżonym krzyżem na słomianej strzesze, dalej podobna do niej obórka i chlewki

wszystko troje do siebie przyparte, jedną prawie stanowiły całość. Od drzwi chaty udeptana ścieżka po spadzistości wybrzeża, spuszczała się aż do samego Bugu: czerpający wodę mieszkańcy téj chaty snąć ją udeptali; a w piasku po bokach ścieżki wydrażone jamki i piecyki świadczyły o zabawach dzieci, które tu często ze wsi przybiegały. Nieco dalej o kilkaset kroków za sosnami, rozciągała się wieś z cerkwią o trzech błyszczących kopułach, ocienionych gałązkami kilku brzoź płaczących, i dworek ekonomiczny z ganeczkiem; wreszcie dwór biały pański z ogrodem na wzgórzu. Niedaleko chaty na Bugu huczał młyn wodny z hałaśliwym kamieniem i czarném a ciężkiém kołem, z drugiej zaś strony rzeki rozciągała się lesista, pusta, bez wdzięku okolica wołyńskiego Polesia.

Mieszkańcami téj od siola oddalonej chaty, były cztery osoby: wdowa *Pałaszka*, dwóch jój synów: *Daniłko* i *Prokop*, i stara *Czyranicha* przyjaciółka czy krewna Pałaszki, na łaskę u nich utrzymywana.

Pałaszka sześćdziesięcioletnia kobiéta, wdowa od lat kilku, schorzała, zapadająca często, o bladej jakby nalanéj twarzy, siedziała przy synach, z których starszy nierównie od brata Prokop, gospodarstwem się głównie na małym ziemi kawałku zajmował. Przędła zimę we dworze na folwarku, latem odrabiała pańszczyznę, pielęgnowała swój ogródek warzywny, i wraz z Czyranichą miała staranie o chacie, o strawie i ubiorach dla synów.

Czyranicha, kobiéta już prawie zgrzybiałéj starości, sucha, czarna, z nosem orlim i brodą ku końcowi nosa, z przyczyny braku zębów, zbliżoną, z głosem do wykrzykników czajki podobnym, zasługiwać mogła w całym znaczeniu na nazwę czarownicy. Umiała przytém zamawiać, zażegnywać, złe wypędzać; obok tego piérwszą była dewotką w cerkwi, najgłośniej ze wszystkich śpiewała, najgoręcej się modliła i najczęściej się żegnała.

Zajęcie jój w chacie, w którój jój dano przytułek, ograniczało się na pomaganiu Pałaszce w przyrządzeniu strawy, na przedzeniu, cerowaniu i szyciu ubiorów.

Prokop, lat około 40, o dużej, ogorzałéj i bez wyrazu twarzy, długich włosach, ponury zawsze i milczący; zamiłowany gospodarz, większą część roku przepędzał na roli pod gołym niebem. Nie lubił zabaw karczemnych, hulank jarmacznych, zbierał grosz oszczędnie i oddawał go matce.

Daniłko, ośmnastoletni parobczak, co do postaci i humoru dziwną stanowił z bratem sprzeczność: był bowiem nadzwyczaj żywy i wesoły, zgrabny w postaci, przystojny w twarzy, i wbrew zwyczajnym tamtostronnym wynędzniałym i chorowitym fizyonomiom, rumiany i świeży. Oczy miał czarne, pełne wyrazu, zęby miał białe, a śmiał się często, nos

cokolwiek zadarty; w jego ruchach przebijała się zawsze dziwna ochoczość i życie.

To też kochała go nadzwyczaj matka, i więcej nawet jak Prokopa, i częściej go głaskała, częściej z nim żartowała, powtarzając: „Bodaj ty Daniłku świta nie baczyw”. I jakkolwiek te oznaki macierzyńskiej miłości były nie tak dobitne i nietylko delikatne jak te, do których przywykliśmy, jednakże Daniłko czuł i silnym uczuciem synowskiej miłości odpłacał się matuli: kochał matkę, kochał swoją starą i popruchniałą chatę, i nie oddałby pewnie tego rumowiska, tej izby ciemnej i dusznej, w której się urodził, i w której ojciec jego zmarł, za najpiękniejszą murywaną we wsi chatę, za najwidniejszą i obszerną izbę.... To miejsce przed chatą, te sosny i widok Bugu, do których wzrok jego tak przywykł, były mu miejscem pełnym z dzieciennego wieku pamiątek; tu, na tej pochyłości wybrzeża piaszczystego, dziecię wpół nagie, w brudną tylko przyodziany koszulkę, tarzał się po piasku, robił piece, sadzawki, a na Bugu puszczał czółenka małe z kory sosnowej, własnej roboty: niby galary, na które corocznie z taką ciekawością patrzył, gdy przepływały popod chatą.

I już w dziecięcym wieku gdy widział tych flisów rzeźwych i ochotczych do pracy i piosnek, wzrosła w nim ochota do wody, do żeglugi: najmiliej mu było nad wodą. A gdy tylko przestał pasać gęsi, owce i bydło rodzicielskie, gdy ręce, aczkolwiek młodociane, siekierę były w stanie ująć, już się zaciągał na *bindugę* pańską, gdzie corocznie prawie budowano galary, lub drzewo zbijano w tratwy: „A jak będę jeszcze trochę starszym, mówił wtenczas, to zaraz pójdę na flisa, i do Brześcia, a może i do Gdańska popłynę”.

* * *

Przeszłego roku na wiosnę przeciągały powoli liczne galary i tratwy popod Daniłową chatą; on stał na wzgórzu i chciwie śledził oczyma poruszenia drygawek, i z pewną zazdrością spoglądał na flisów, ochotczych krzątających się po statkach; a gdy wieczorem stanęły galary w przystani i flisy rozniecili ognisko na brzegu, zasiadłszy kołem, zbliżył się do nich Daniłko, zapoznał i wkrótce zawiązał rozmowę:

— Daleko płyniecie?

— Do Brześcia!—odpowiedzieli.

— I nie przykrzy wam się na wodzie?

— Ho! a i czego nam się ma przykrzyć—odezwał się grubym głosem jeden z nich z miną zupełnie flisowską—drygawkami się robi, ale i nie zawsze; przez młyny trochę pracy, to prawda, ale taki miło jest płynąć w pogodę, gdy słońce świeci a czajki i rybitwy ponad głowami prze-

latują, a taki i zarobek nie mały, dobrze i z gościńcem dla żony i dzieci powrócić do chaty.

— Jeszcze jak *horyłkę* dają trzy razy na dzień jak nasz Mordko, to i ujdzie—rzekł inny.

— A i mięso jest i sól, chwala Bogu—wtrącił trzeci i t. d.

Dosyć tego było dla Daniłki, który pomimo wrodzonej do tego stanu ochoty, słyszał jeszcze z ust flisów pochwałę tego zawodu, aby nie powziąć stałego zamiaru z przyszłą wiosną wyruszyć z galarami, nad którymi w *bindudze* podjął się być pracować.

Przyntósłszy flisom butelkę horyłki utraktowali się i pożegnali, a powróciwszy do chaty zawołał wesóło wchodząc do izby: „Bib me matulu, tak ja na weśnu pijdu na flisa do pańskich galarów, ta i zaroblu hroszy” i zaczął się śmiać i skakać po izbie. „Bodaj ty tak świta ne baczył Daniłku” było zwyczajną żartobliwą matuli odpowiedzią.

Przy końcu jesieni i na początku wiosny robota na *bindudze* przyspieszonym postępowała krokiem: miało być bowiem sześć galarów wyprawionych do Brześcia. Daniłko przez zimę woził z lasu belki, obrabiał tarcice, *dychtował* galary, a gdy nadeszła chwila spuszczenia statków na wodę, z całej wioski prawie pozbiegano się nad brzeg, dziwować się jemu widokowi. I Daniłkowi uśmiechała się dusza, gdy zepchnięty galar z szumem i bukiem roztrącał fale Bugu, a potem kołysał się na wodzie tak czółenko przez czas jakiś.

Wybudowano skarbowkę, zepchnięto wszystkie galary, woda wiosenna cokolwiek opadała, zbliżał się czas odjazdu.

Daniłko oczekiwał téj chwili z niecierpliwością. Zapisało się ich kilku z téj wioski, resztę z innych siół zebrano; żaden z nich jednak pewnie z większą od Daniłki nie szedł ochotą.

Nadszedł czas odjazdu. O południu w piękny dzień majowy, galary miały wyruszyć.

Całym przyborom Daniłka do téj podróży było zawiniątko, płachtą okryte, przez Pałaszkę przygotowane, składające się z dwóch koszul, nowój sukmany i pary *postołów*; sam zaś w starój łatanój sukmanie, w kapeluszu słomianym z życzkową wstążeczką, w butach z długimi cholewami, przepasany na koszuli pasem z kaletką, wsadziwszy fajkę krótką z papużą bakunu za pazuchę, już był do drogi gotowym.

A Pałaszka włożyła mu na szyję medalik z Matką Boską chełmską, a Czyranicha przeżegnała go spluwając trzy razy, dla oddalenia złych przygód w podróży.

Już galary stały rzędem i retman wsiał na swe gibkie czółenko, i każdy z flisów był na swoim miejscu przy swojej drygawce; łatwo by-

to między nimi rozróżnić Daniłka po jego minie ochoczej i oczach pełnych życia, w których się przebijają namiętna żądza téj żeglugi.

A na brzegu stała Pałaszka w siwej sukmanie, z chustką białą na głowie, z rękami na piersi założonemi; przy niej Czyranicha z wyciągniętą żylastą szyją, w ceglastej podziurawionej sukmanie, sękatym podpierająca się kijem.

Warto, by ten obraz nasz Suchodolski przeniósł był na płótno.

Rozległ się grzmiący głos retmana, zaszumiały drygawki pierwszego ze skarbówką galaru, potem drugi ruszył się z miejsca, potem trzeci i następne....i szum drygawek coraz się zinniejszał, coraz to cichł, coraz to dalej odpływały galary...

Ze smutną twarzą Pałaszka wraz z Czyranichą prowadziły okiem Daniłka aż do zakrętu; tam im się jeszcze kapeluszem skłonił, wreszcie lasak wierzbowy zasłonił im całą tę wodną wyprawę.

— Ne smutte sia Pałaszko, poichaw to i werne sia nazad! — zaskrzeczała Czyranicha i obie zawróciły się wolnym krokiem do domu.

* * *

Piękny był wieczór sierpniowy, a nad Bugiem i w ogóle w okolicach nadrzecznych stokroć ten wieczór jest piękniejszym, bo jego harmonią podnoszą skrzeki żabek, odgłosy derkaczów po bagniskach i dzikich kaczek, a świeżości dodają mu lekki powiew wiatru od strony wód i biała mgła, w fantastycznych wznosząca się tumanach. W naszej okolicy, oprócz powyższych, uzupełniały cudność harmonii klekoty bocianów, tu i owdzie w gniazdach, na wysokich i suchych dębach poumieszczanych, szum młynów na Bugu i gwar wiosek nadbrzeżnych.

W podobny to wieczór o zachodzie słońca, które złoćło kopuły cerkwi rodzinnego sioła, Daniłko spieszonym krokiem z zawiniątkiem i butami na kiju zawieszonymi, powracał z flisowskiéj aż z Brześcia wyprawy. W jego twarzy malowało się zadowolenie: piérwszy to raz bowiem w życiu tak daleką odbył podróż, widział tyle wsi i miasteczek, i sam Brześć z fortecą, który mu się daleko piękniejszym od znajoméj mu wydał Włodawy; nadto tyle przygód w tak długiej choć przyjemnej podróży, a w kaletce kilka rubli zarobku i chustka dla ukochanej matuli, i paciorki dla Czyranichy: wszystko to w jego oczach i twarzy niezwykle malowało się ukontentowaniem. Teraz chciałby tylko lotem ptaka do domu przylecieć, uściskać matulę ukochaną, opowiedzieć im co widział, co słyszał, gdzie był.

To téż, gdy zdala ujrzał szarzejącą swą wioskę, i Bug kręto jak wstęga u jej stóp płynący, zabiło mu serce z radości i przyspieszył kroku.

Zboczył z głównego, wierzbami wysadzanego gościńca, i znanemi mu przez krzaki ponad Bugiem puścił się manowcami.

Już ujrzał sosny, i wzgórze piaszczyste, i chatę poczerniałą. Ktoś siedzi na jej progu!... to może matula... nie, to Czyranicha. Poznał ją po kolorze sukmany: podparła się ręką pod brodę i znać dumiała, czy się modliła, bo właśnie dzwon cerkiewny chrapliwy i smutny, rozlegał się po okolicy na Anioł Pański.

Gdy już był o kilkadziesiąt tylko kroków od niej, a stara ze spuszczoną w ziemię głową ciągle siedziała, zaczął wołać na nią wesoło:

— Czyranicho, Czyranicho! jak sia maete, zdroweś te?!

Stara podniosła na niego siwe i wpadłe oczy, a poznawszy Daniłkę, czajkowym swym głosem zaczęła rozwodzić, kiwając głową:

— Oj biedny ty biedny syn Daniłku!—i zaczęła rychotać od płaczu— Oj już nie zobaczysz twojej matulki, twojej gołąbki; zawieźliśma ją na mogiłki przed czterema dniami, a świeża jęj jeszcze mogiła.... — i zaczęła dalej kiwać głową i wywodzić zale.

Daniłko struchlał, pobladł, zatoczył się, a oparłszy się o ścianę, zapytał stłumionym głosem:

— I prawdu howoryte, Czyranicho?

— Oj prawdę ja mówię—ciągnęła dalej tym samym, płaczem przerywanym głosem stara—tać ja jęj sama oczy zamknęła i ręce złożyła; oj prawda, prawda, nieszczęśliważ moja doleńko!!!

Cios tak niespodziewany jakby piorunem uderzył w Daniłkę; gdy pierwsze wrażenie niemęj boleści przeminęło, wszedłszy do chaty, zapłakał. Czyranicha mu wtorowała.

Przyszedł Prokop z roboty, a widząc żal Daniłki, kiwał tylko głową i cały ten wieczór smucili się a wzdychali, kiwając głowami.

Nazajutrz rano Daniłko smutny, blady, poszedł ku cmentarzowi, który leżał niedaleko chaty, otoczony popruchniałym parkanem, z bramą przez burzę odwaloną, pokryty mnóstwem małych prostych krzyżyków i młodych sosenek, tu i owdzie po mogiłach rozsianych.

Tutajto było miejsce wypoczynku po ciężkiem i pełnem trudu życia chłopków naszej wioski; tutaj starzec gospodarz z czystem umierając sumieniem, spracowane swe składał ciało, zostawiwszy dzieciom i wnukom chatę, kawałek roli i prawo do podobnież mozolnego jak on na życie zarobku; tutaj dziecię chorobą dotknięte spało, uniknąwszy cierni życia, jakieby go w późniejszym czekały zawodziel...

Daniłko przez Czyranichę o miejscu mogiły matki objaśniony, wszedł na cmentarz, zdjął kapelusz i stanął nad grobem. Matkę złożono koło ojca, a na obu mogiłach stały małe, poprostu wystrugane krzyżyki. Ojco-

wska już dawno trawę porosła, a bławatki i bratki jasne swe główki kołysały naprzemian za najmniejszym wiatru powiewem.

Poplakawszy jeszcze trochę, pokiwawszy głowę, opuścił Daniłko to miejsce, szepcząc wyuczoną przez nieboszczkę matkę za umarłych modlitwę.... Smucić się dłużej nie było czasu, a zresztą coby to i pomogło, potrzeba było o dalszym zarobku, o dalszej pomyśleć pracy.

Jakoż wkrótce Daniłko aczkolwiek smutny, siekierą znowu robił w lesie u pańskich belek, zwoził drzewo lub pomagał Prokopowi, i w czasie pracy lżej mu było, zapominał o smutku; lecz gdy wieczorem do ulubioniej powracał chaty, nie było matuli, coby mu pieśń jaką zanuciła, coby jakie przy ognisku opowiedziała zdarzenie: tylko milczący jak zawsze Prokop siedział na przypiecku z fajką bakunu w zębach, tylko Czyranicha krzątała się około wieczerzy, i wspomnieniami o Pałaszcze powiększała smutek i tęsknotę synowskiego serca.

I uczuł Daniłko, że jest samotnym na świecie: jakaś tęsknota ścisnęła jego serce, dziwne myśli przesuwaly mu się po głowie, i znów zatęsknił za wiosną, za galarami, za wodą; a czas ten wydawał mu się tak nudny i długi, jesień bowiem dopiero nastawała ze swemi deszczami, błotem i gwizdzącym przez szpary ścian wiatrem.

On wesoły i śmiejący się prawie zawsze dawniej—teraz wieczory samotne z Prokopem i Czyranichą trawił, siedząc zamyślony i patrząc na ognisko; a na jego twarzy był rozlany dziwny jakiś wyraz tęsknoty i znudzenia.

Zwróciła na to uwagę Czyranicha, i pewnego wieczoru rzekła mu:

— Daniłko! wyście smutni, nudno wam samemu, jabym wam poradziła jedno lekarstwo.

— Na co takiego?

— A ta, że wam-bo czas się i żenić, a taki kiedy żonka dobra a gospodarna, a dzieci parę, to taki weselej jakoś, jak się do chaty po pracy powróci.

— Żenić się, a z kim? *kole* mi się żadna z naszego sioła na żonę nie spodobała.

— Bo dawnoście nie byli na *wieczornyciach*, na *achotach* w karczmie w niedzielę. Ho, ho! a czyto mało i w naszym chociaż siole młodych czarnobrew krasnych: oto pierwsza *Winodja Ostapicha*, co zawsze wieniec ma na dożynkach na głowie, świeża, krasna, a i do roboty skora, abo *Paraska Hołowaczówna*, świeża jak jagoda.

Daniłko kiwnął ręką z obojętnością.

— Abo *Hapka z Zamołodycza*, to mi dziewczoja, a i rodzice posażni.

— Hapka? nie znam; a czyjaż ona?

— Od Harasyma Borysieczenko co niedziela przychodzi tu do krewnych i zawsze prawie jest na ochocie.... Żebyście ono tylko chcieli (dodała po chwili), toby wam się pewnie i która spodobała, a jaby was zaraz wyswatała.—A trzeba wiedzieć, że Czyranicha była jedyną na swatkę, na kumę przy chrzcie, na płaczkę przy pogrzebie.

Po tych namowach Czyranichy zadumał się Danilko i rzekł w duchu: a możeb to i dobrze było, co stara mówi—i postanowił na przyszłą niedzielę iść na ochotę do karczmy.

A wiecie wy, coto jest ochota w karczmie? Oto wieczorem w niedzielę lub święto schodzą się starzy gospodarze, baby, parobki i młodyce. Kowal lub diak rzępoli na starych potłuczonych skrzypkach, starzy popijają do siebie horyłkę, baby gwarzą, a młodzież hasa, i zabawa ta żywiej i weselój idzie zwykle, jak w najpiękniejszych salonach miejskich niejednen bał wykwinął. Tu w półkwatku wódki, w tych płasach swobodnych i ochoczych, zapominają trudów przeszłotygodniowej ciężkiej pracy, i nie pomną o jutrzejszej, która ich czeka.

Na pierwszą więc niedzielę wybrał się Danilko na ową ochotę, na której dawno już nie był.

Gdy wszedł, już izba była pełna ochoczych gości: gwar go zagłuszał. Poza stołami siedzieli już podpili, po większej części gospodarze, w czapkach baranich, i baby w białych rańtuchach, rozwodząc głośno, traktując się i całując. Pomiedzy nimi krzątał się ponury, z chorowitą twarzą gospodarz, dolewając wódki do wypróżnianych co chwila półkwaterek. Na przyzbie od pieca, siedział grajek miejscowy: było kowal, chłop jak inni z téj wsi, który dla odróżnienia się swém rzemiosłem, chodził przybrany w granatową i długą jakąś kapotę; szyję miał wyciągniętą, twarz wyschlą, jakby z niechcenia pociągał smyczkiem po starych rozbitych skrzypkach, wydobywając z nich jak najfałszywsze preludia. Po drugiej stronie izby, popod oknami, siedziały rzędem młodyce, ze pstremi chustkami na głowach, lub z długimi warkoczami, z paciorkami u szyi, w bielszych nieco i cieńszych od męzkich koszulach, w trzewikach z dwiema czerwonymi kokardami. Sprzeciwiała im się młodzież, co chwila potupując i zachęcając do przyszłego tańca.

Gdy wszedł Danilko, powitało go kilkanaście głosów:

— Jak sia maesz?!

— Hdeżeś buw do tej pory?!

— Wypijmo horyłki.

— To flis, jemu ono pływać po wodzie i t. d.

A Daniłko rzucił naprzód wzrokiem na grono młodych, obejrzał ich kolejno, a oczy jego mimowolnie zastanowiły się na przedostatniej odedrzwi siedzącej. Była wysoka i zgrabna, oczy miała czarne i żywe, i rumieniec na ogorzałej, chociaż miłej twarzy.

— Czyjaż ta, ot tam, powiedzcie? — zapytał pocichu jednego z parobków.

— Nie znajesz? ta to Hapka z Zamołodycz, od Harasyina Borysieczko — odpowiedział zagadniony.

— Nie znam — rzekł Daniłko, i pilnie się w nią wpatrywał.

Zaczęła się zabawa. Daniłko tańczył zawzięcie; zapomniał swego smutku; najwięcej zaś tańczył z Hapką. Sprzeciwiał się jej, żartował, a jej oczy czarne tak przyjaźnie na niego patrzyły!

Późno w noc skończyła się ochota. Daniłkowi żal było rozejść się, a co najwięcej, że Hapka, która tak mu się podobała, nazajutrz powracała do Zamołodycz, o milę od wsi naszej odległych, i nie miał jej znów ujrzeć aż na przyszłą niedzielę.

I całą tę noc po ochocie śnił o Hapce; nazajutrz myślał o niej przy robocie i szukał w głowie sposobu zbliżenia i zapoznania się z jej rodzicami, których tylko znał z widzenia.

Nadeszła druga niedziela, a z nią i ochota, na którą Daniłko tak niecierpliwie przez cały tydzień wyglądał; i znowu ujrzął Hapkę, tańczył z nią znowu najwięcej, bliżej się jeszcze zapoznał, i tém bardziej pokochał, że w jej czarnych, pełnych życia oczach, widział dla siebie spótcucie.

Pewnego dnia, po drugiej niedzieli, a było to nad wieczorem, podczas słotnej i wietrznej jesiennej pory, Daniłko drwa rąbał w lesie do dworu; wóz z parą zaprzężonych wołów stał na drodze; deszcz z wiatrem szumiał po nagich i wysokich drzewach lasu, a Daniłko myślał o Hapce, o sposobie zapoznania się z jej rodzicami: wtém ujrzął wysoką i smagłą postać kobiecą, idącą drogą ku niemu. Po chodzie, po postaci zdawało mu się, że to Hapka płachtą miała nakrytą głowę.... Zastukało mu serce w piersiach, tém bardziej, gdy już wątpić nie mógł, że to ona. Przestał więc rąbać i zbliżył się do niej.

— A dobry wieczór!

— Dobry wieczór!

— Gdzież tak idziecie w taką porę?!!

— Batko posłał mnie do Kuźmy do Borowej Cerkwi dowiedzieć się, jak się ma.

— I nie boicie się wolków?!

— A i czegoż?!! — odpowiedziała bawiąc się końcem płachty, i nie podnosząc oczu na niego.

— Jakże wy zajdziecie do Zamołodycz?

— Tak jak wyszła, tak i powrócę.

— A chcecie, to was powiozę: taki dėschez—mówił do niej szczęśliwy, że mu się trafi sposobność poznania jój rodziców.

— Dziękuję wam, ja i tak zajdę.

— Nie, taki was koniecznie zawiozę do Zamołodycz, do samėj chaty, a i rodzicom się pokłonię, których nie znam i was obronię od wołków.

— Jeżeliście łaskowi, to dobrze.

I siadła Hapka na wóz. Daniłko woły prowadził śmiejąc się i żartując z kochanki.

Przybywszy do Zamołodycz, Daniłko wszedł do chaty rodziców Hapki i pozdrowił ich. Rodzice podziękowali mu, poczęstowali wódką, i prosili o odwiedziny: tego téż Daniłkowi było potrzeba.

I od téj pory widywał ją często, często bardzo długie wieczory zimowe trawił przy niej, przy rodzicach, którzy radzi mu zawsze byli, i stale postanowił przyszlěj jesieni ożenić się z Hapką.

* * *

Na końcu naszej wioski stała chata porządniejsza i większa od innych, z murowanym kominem i dużemi oknami; byłato chata gajowego Stepana młodego, o zgrabnój postawie i przystojnėj twarzy parobka, który pobierał ze dworu 100 złotych pensyi i stroił się odrębnie od chłopków téj wioski, jakkolwiek był synem jednego z tamtejszych gospodarzy przed rokiem zmarłego; nosił bowiem z delikatniejszego sukna sukmanę, bardziej wciętą i krótką, pięknym rzemiennym z świecąclą klamrą przepasywał się pasem, a w miejscu baraniěj czapki lub słomianego kapelusza. nosił jakąś czarną z kutasem, na bakier zasadzoną furażerkę, którą, jak mówiono, pisarz mu darował.

Pewnego razu, gdy Daniłko od wiedział w Zamołodyczach swą kochankę i jój rodziców, zastał w chacie Stepana rozmawiającego z Hapką, zinarszczył się na to i rzekł do Hapki:

— Po co on tu przyszedł, czego on tu chce?

— Przyjdzietą i pójdzie—obojętnie odpowiedziała Hapka, i spojrzała znów na Daniłka tym wymownym i czułym wzrokiem, tak, że go zupełnie zaspokoila.

Lecz zima się kończyła. śniegi topniały, nadchodziła wiosna; znów kilka galarów według zwyczaju spławiać miano do Gdańska, i Daniłkowi, jakkolwiek z jednėj strony miło było być przy Hapce, patrzeć w jój czarne i wymowne oczy, z drugiej strony zateśknił do wody z wiosenną porą, i za przyjemną z flisami podróżą. Porozumiano się za pośrednictwem swatki Czyranichy o czasie wesela Daniłka z Hapką, na które rodzice jój

z ochotą przystali i uradzono, że po powrocie jego z Brześcia na jesień, odbędzie się ta uroczystość.

— Bądź zdrowa. Hapko, do widzenia! — mówił jój żegnając się Daniłko, gdy nazajutrz miał z galarami wyruszyć — a nie zapominajcie o mnie; jak wrócę, to się pobierzem.

Hapka płakała.

Daniłko o jój wiarę czuł się zupełnie zaspokojonym. I znowu był w swoim żywiole, gdy wyruszyły galary z miejsca, gdy wiatr świeży od wody owiał jego ciało w lekką tylko przyodziane koszulę, i popłynął. ...

* * *

Była noc cicha, miesięczna, noc cudna: nad brzegami po wioskach ucichł gwar, gdzieś tam tylko pies zaszczekał, lub wartownik przy kołowrocie zakrzyknął przeciągłym głosem: werda! Pogasty ogień po chatach, gdzieś tam jeszcze tlejące węgle słabo rumieniły wnętrze izby, w której snem głębokim, bo po pracy, spoczywali ludzie. Tylko Bug nie znał nocy i spoczynku, bo płynął ciągle dalej i dalej, i żabki monotonnym a smutnym odzywały się gdzieś chórem.

W ową noc powracał Daniłko z Brześcia z gościńcem dla narzeczonej, którą tak niecierpliwie pragnął być ujrzyć, i o której myślał przez cały ciąg swjej podróży.

„Jutro rano, mówił sobie, zaraz pójde do Zamołodycz, zaniose jój gościńca; ale dziś niedziela, to może ją jeszcze i w karczmie znajdę na ochocie“ — i szedł prosto gościńcem, nie manowcami, jak dawniej.

Gdy się zbliżał do kołowrotu, uderzyło go światło bijące z okien chaty Stepana; zdawało mu się nawet, że słyszy muzykę... Ciekawy zbliża się i zagląda przez okno.

Oniemiał!.. tchu mu w piersiach zabrakło... krzyknął rozpaczliwie i ręce załamał. Bo przez szyby dość dużych okien ujrzał Hapkę w stroju panny młodej i Stepana przy jój boku. Wdzięcznie, tak jak niegdyś na Daniłka, tak teraz na Stepana patrzyła czarnemi swemi oczyma, a wokoło nich snuło się mnóstwo młodych, bab, i parobków, i starosta potrząsał dzwoneczkami skacząc po izbie, i kowal rzępolił na skrzypcach.

To może sen!

Zagląda raz jeszcze.. Tak, niemylnie, to ona, wiarołomna Hapka, teraz z panem młodym do ochoczego wysuwa się tańca, a w jój twarzy taka wesołość, na jój ustach taki uśmiech!

Ha! — zakrzyknął z wściekłością biedny Daniłko, i z rozczołowanym włosem, bladą jak trup twarzą wbiegł do sionki, a roztworzywszy z łoskotem drzwi od *świetylicy*, konwulsyjnie śmiać się zaczął, wołając:

— Jak się macie, Hapko? zdrowie? O! bawcie się na waszym wesiliu, tancujcie zdrowi! i śmiać się ciągle, i coś jeszcze niezrozumiale, chociaż już ciszej mówił, aż się potoczył na ziemię i upadł.

Popłoch wielki powstał w zgromadzeniu: Hapka tuliła się ze strachem do męża, starosta oniemiał i kowal grać przestał; podjęto zemdlałego Daniłka i zaniesiono go do jego chaty.

A nazajutrz rano Daniłko chwiejącym krokiem, z twarzą bladą jak wczoraj, z niewyowiedzionej na niej boleści wyrazem, wychodził ze swej starej chaty, pożegnawszy Prokopa i Czyranichę, mówiąc im, że idzie w świat, gdzie go oczy poniosą, i że już może do nich nie wróci.

Istotnie poszedł; lecz gdzie? niewiadomo!

Wiosną, znów płynęły * po Bugu zwykłym porządkiem galary, a na jednym z nich leżał flis blady, co drygawką już robić nie miał siły. Po tej twarzy schudzonej, i boleści rozlanej po wszystkich jej rysach, po tych oczach niezwykłym jeszcze jaśniejących blaskiem, poznać było można znajomego nam Daniłka: a jak wychudł, zestarzał, choć to tylko lat kilka temu. Galary były o milę od rodzinnego Daniłka sioła, na noc tam ściągnąć zamierzano.

Flisy, koledzy Daniłka, chcieli go schorzałego w piórwszej lepszej zostawić wiosce; lecz on prosił ich tak ujmująco, tak błagał nawet, aby go tu na wodzie zostawili, gdzie świeżym może oddychać powietrzem, że go dopiero w rodzinnej jego wiosce zostawić się zgodzili.

Lecz gdy się już do wioski zbliżali, Daniłko zasypiał, zasypiał snem śmierci, aby się po tylu cierpieniach zbolełym życiu, w lepszym nad ten rozbudzić świecie.

Zatrzymały się galary nad brzegiem.... Daniłko już nie żył....

A na piaszczystym wybrzeżu między sosnami, stała jak dawniej chata Daniłka, lecz jedna jej połowa z dachem zupełnie zapadła, w drugiej okienka bez szyb i drzwi wywalone świadczyły, że stała pustkami.

Wyniesiono na brzeg martwe zwłoki i położono na murawie, a w ową właśnie chwilę z piosnką w ustach szła wesoło pani Stepanowa po wodę do Bugu.

Przez ciekawość zbliżyła się do miejsca, gdzie flisy z pełną uszanowania postawą zgromadzili się wokół zmarłego; a gdy ujrzała tę twarz tak dobrze znajomą, cierpieniem i śmiercią zmienioną, krzyknęła i zasłoniwszy sobie oczy uciekła.

Zbiegli się ludzie ze wsi przypatrywać się zmarłemu, a poznawszy Daniłka kiwali głowami i szeptali. Przybył i Prokop, wziął ciało brata do siebie i pochował je z należytą przyzwoitością. Czyranichy tylko nie było, coby płakała i rozводziła żale na pogrzebie, bo Czyranicha już dawno na mogiłkach....

A nazajutrz, na brzegu przy którym nocowały galary, widzieć było można krzyż prosty drewniany, przez flisów na uczczenie pamiętki zmarłego wystawiony, rozciągający ponad wodą swoje ramiona.

Leon Kunicki.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z r. 1851.

	Stron.
Od redakcyi	I
Filozofia.	
Początki filozofii krajowej. Przegląd, przez <i>A. Tyszyńskiego</i> (ciąg dalszy)	269
Materiały historyczne.	
O dawnych statutach synodalnych polskich dotąd niewydanych, przez <i>R.</i> ..	91
Kilka uwag nad artykułem <i>Wiktora hr. Ossolińskiego: Wspomnienia z Podlasia. O uroczysku historycznym zwanem Komat.</i> Przez <i>J. R. J. Podlasianina</i>	122
Rzut oka na dotychczasową polską historią, p. <i>Augustyna Bielowskiego.</i> 105, 534	
Miasto Brody z dawnemi przynależnościami, przez <i>Tymoteusza Lipińskiego</i>	435
O nowem wydaniu sag skandynawskich, przez <i>Juliana Bartoszewicza.</i>	512
Prawo.	
Ustawa wexlowa niemiecka, z dołączeniem odmian textu austriackiego i z objaśnieniami, przez <i>Felixa Zielińskiego</i>	546

Nauki społeczne.

	Stron.
Jeziora w Królestwie Polskiem, przez <i>Ludwika Wolskiego</i>	46
Uwagi w przedmiocie wystawiania duplikatów na papiery publiczne procentowe zagubione lub zniszczone, przez <i>W. G.</i>	112

Opisy i podróże.

Maurowie niegdyś w Hiszpanii, a dziś w Afryce. Przez autora: O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d.	296, 395
---	----------

Literatura.

Nowa epoka literatury historycznej polskiej. Przegląd p. <i>Juliana Bartoszewicza</i>	448
---	-----

Powieści.

Obrazki wiejskie. Sobótka, przez <i>Jana Kant. Gregorowicza</i> (dokończenie). 1,	215
Danilko flis. Obrazek z obyczajów ludu okolic nadbużnych, przez <i>Leona Kunickiego</i>	168
Tankred de Montecule, czyli nowa krucjata. Powieść przez d'Israeli napisana. Część IV i V.	471

Poezye.

Wybudowanie Skadru (z gminnych poezyj serbskich).....	85
Jaskółka, przez <i>Z.</i>	469
Pieśń wiosenna, przez <i>Z.</i>	469

Sztuki piękne.

Wspomnienia koncertowe: Szczepanowski, Kellermann, Schulhoff. Józef i Henryk Wieniawscy, Kątski Apolinary. Przez <i>J. Sikorskiego</i>	369
--	-----

Rezbior.

Pogląd na opinią p. Dutkiewicza co do teoryi ostrzeżeń hipotecznych, przez <i>A. Heylmana</i>	132
Ustęp z historyi Szląska, wypracowanej przez profesora Dra Walentego Kulawskiego. Kraków. 1850. Przez <i>J. B.</i>	142
Kile słow wo Kaszebach e iich zemi, przez Wójkasena. Tudzież rzecz o języku kaszubskim; ze zdania sprawy Prajsa. Kraków. 1850. Przez <i>K. W. W.</i>	151
Pamiętnik naukowo-literacki. Pismo literaturze, umiejętnościom i sztuce poświęcone, pod redakcją R. Podbereskiego. 1850. Tom IIgi. Przez <i>T.</i>	159
Dawne zabytki miasta Krakowa. Przypomnienia przeszłości o niektórych starożytnych zwyczajach mieszczan krakowskich, o bramach, basztach i wszelakich tej niegdyś stolicy kraju obronach... Z rękopisów zebrał i ogłosił Ambroży Grabowski. Z ryciną. Kraków. 1850. Przez <i>J. B.</i>	357

Myśli przy czytaniu dzieła: Słownik malarzów polskich, tudzież obcych w Polsce osiadłych, lub czasowo w niej przebywających, przez Edwarda Rastawieckiego. Tom Iszy. Warszawa. 1850. Przez <i>Gwałberta Pawlikowskiego</i>	363
Przekłady poetów polsko-łacińskich, tomik IIgi: Rymy łacińskie Jana Kochanowskiego, przekład Władysława Syrokomli. Wilno. 1851. Przez <i>St. Lisowskiego</i>	576
Królewicze biskupi. Żywoty czterech kapłanów, przez Juliana Bartoszewicza. Warszawa. 1851. Przez <i>A. P.</i>	589

Nauki przyrodzone.

Spis ptaków gubernii lubelskiej, przez <i>W. Taczanowskiego</i>	334
Polnik zwyczajny (<i>Arvicola arvalis</i>). Wyjątek z listu Gustawa Belke do Konstantego hr. Tyzenhauza.....	595
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Chemia, przez <i>J. B....ę</i>	181
Rejestr abecadłowy Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych, z r. 1850.....	183

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>T. Sierocińskiego</i>	599
<i>Kronika bibliograficzna</i>	185, 387, 603
Doniesienia literackie.....	186, 388, 604
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiem:	
za miesiąc listopad r. z.....	191
— — grudzień r. z.....	391
— — styczeń r. b.....	607
Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych, w obserwatoryum warszawskiem w roku 1850 robionych.	

